

# William Wilson



EDGAR ALLAN POE

# William Wilson

TŁUM. BOLESŁAW LEŚMIAN

*Cóż powie — on? Co powie głos sumienia —  
Ta zmora zmór, co za mną kroczy w ślad?*

*Chamberlayne: Pharronida*

Niechże mi wolno będzie do czasu nazywać się Williamem Wilsonem. Rzeczywiste moje nazwisko nie powinno pokalać leżącej oto przede mną, nietkniętej jeszcze karty. Nazwisko owo aż nazbyt często było przedmiotem wzgardy i lęku — źródłem wstrętu dla mojej rodziny. Czyliż wzburzone wichry nie otrąbiły bezprzykładnej hańby tego nazwiska aż po najdalsze krańce kuli ziemskiej? O, najsamotniejszy ze wszystkich wygnańców! Czyliż nie umarłeś na zawsze dla świata — dla jego zaszczytów, dla kwiatów, dla złączających się urojeń? I czyliż chmura gęsta, ponura i bezkresna nie zawisła na wieki pomiędzy twoją nadzieją a niebem? Gdybym mógł nawet, nie chciałbym zawrzeć dzisiaj w tych kartach wspomnienia ostatnich lat trudnej do opisanja nędzy ducha i nieprzebaczalnej zbrodni. Ta ostatnia epoka mego życia spiętrzyła aż po kres ostateczny ilość hańbiących mnie występków i pragnę jedynie określić źródło ich pochodzenia. Jest to na razie mój zamiar wyłączny. Ludzie zazwyczaj nikczemnieją stopniowo. Co do mojej osoby — wszystka cnota w okamgnieniu, znienacka opadła ze mnie jak płaszcz. Od tuzinkowej mniej więcej rozpusty siedmiomilowym krokiem przerzuciłem się w świat zmór bardziej niż heliogabalowych<sup>1</sup>. Pozwolę sobie w całej rozciągłości opowiedzieć, jaki traf, jaki jedyny w swym rodzaju mus pchnął mnie ku owym upadkom. Zbliża się śmierć i cień, który ją poprzedza, nakazem uciszeń dosięgnął mego serca. W mym pochodzie poprzez dolinę mroków pożądam współczucia — chciałbym rzec — miłosierdzia mych bliźnich. Pragnąłbym ich przekonać, że byłem poniekąd niewolnikiem okoliczności, które się wymykają wszelkim dozorum ludzkim. Życzyłbym, aby w szczegółach, które im podam, wykryli na moją korzyść pewną maluczką oazę *przeznaczenia* wśród Sahary zgróź. Chciałbym, aby uznali, że chociaż ten padół słynie z wielkich pokus, nikt dotąd nigdy nie był kuszony w ten sposób i bez wątpienia nigdy w ten sposób nie uległ. Czyż nie dlatego, iż nikt nigdy nie doznał tych samych cierpień? Zaprawdę — czyliż nie żyłem we śnie? Czyliż oto nie ginę jako ofiara zgrozy i tajemnicy najdziwaczniejszej ze wszystkich zmór podksiężycowych? Jestem potomkiem rasy, którą zawsze wyróżniał temperament zdolny do przywidzeń i łatwo zapalny, i pierwsze lata mego dzieciństwa są już dowodem, że całkowicie odziedziczył cechy mego rodu.

Z biegiem czasu cechy owe zarysowały się dosadniej i z wielu powodów stały się dla mych przyjaciół przedmiotem poważnych niepokojów, a dla mnie — źródłem istotnych krzywd. Stałem się — samowolny, pochopny do najdziwszych wybryków. Oddałem się na pastwę najbardziej nieposkromionym namiętnościom. Rodzice moi — ludzie słabego charakteru, dotknięci na domiar udręką przyrodzonych i organicznych niedoborów, niewiele mogli przedsięwziąć dla przytłumienia złych skłonności, które zdradzałem. Nie zaniedbali ze swej strony kilku słabych i nietrafnych wysiłków, które się zgoła rozminęły z zamiarem i zakończyły całkowicie moim tryumfem. Odtąd słowo moje stało się w domu — rozkazem i w wieku, gdy dzieci jeno wyjątkowo pozbywają się swych wędzideł,

<sup>1</sup>*heliogabalowy* — od imienia Heliogabala, cesarza rzym. (218–222), który zasłynął z powodu wyszukanej rozpusty. [przypis redakcyjny]

Hańba, Samotnik, Imię

Śmierć, Obłok, Wygnanie

Los, Kuszenie, Cierpienie,  
Życie snem

Śmierć, Cień

Rodzina, Dziecko,  
Samolubstwo

przyznano mi wolną wolę i stałem się panem mych wszystkich, z wyłączeniem imienia<sup>2</sup> — czynności.

Pierwsze moje z życia szkolnego wrażenia wiążą się z obszernym a dziwacznym budynkiem w stylu Elżbiety<sup>3</sup> w głuchym zakątku Anglii, strojnym w niezliczoną olbrzymich, sękowatych drzew, a którego wszystkie domostwa były wyjątkowo zamierzchłe. I, doprawdy, owo czcigodne a starożytne miasteczko było podobizną marzeń i miejscem oczarowań ducha. I nawet w tej chwili udziela się mej wyobraźni ożywczy dreszcz jego do głębi cienistych alei i oddech mój napelnia się powiewem jego tysięcznych gajów, i dotąd jeszcze z niewytłumaczoną rozkoszą drzę na wspomnienie piersiowych a głuchych brzmień dzwonu, który co godzina swym nagłym a gderliwym porykiem rozszarpał ciszą mglistej atmosfery, kędy grążyła się drzemotą zdjęta dzwonnica gotycka, cała zębami ozdobna.

Zaiste wszystek zasób dostępnego obecnie mym doznaniom szczęścia czerpię ze szczegółowych wspomnień życia szkolnego i właściwych mu mrzonek. Zatraconemu, jakom jest, w kłęsce — w kłęsce — niestety — aż nazbyt rzeczywistej — wybaczą chyba, że szukam wielce kruchej i wielce przelotnej pociechy w tych dziecięcych i luźnych wspominkach. A chociaż zgoła pospolite i blahe same przez się, nabierają skądinąd w mej wyobraźni doniosłości przygodnej, dzięki swemu ścisłemu związkowi z miejscem i epoką, w których z dzisiejszego oddalenia postrzegam pierwsze, niejasne przestrogi losu, co od owego czasu w tak głębokie spowinał mnie cienie. Nie wzbraniajcież mi wspomnień!

Domostwo, jak rzekłem, stare było i bezładne. Podwórzec był obszerny, okolony wysokim a krzepkim murem z cegieł, zakończonym polepą z gliny i tłuczonego szkła. Ten szaniec, godny więzienia, znaczył granicę naszego państwa. Oczy nasze przedostawały się poza nią tylko trzy razy na tydzień — raz jeden co sobota, po południu, gdy w towarzystwie dwóch dozorców szkolnych wolno nam było odbywać społem krótkie spacerki do wsi sąsiedniej, i dwa razy — co niedziela — kiedy uszykowani jak żołnierze na popisie szliśmy do jedyne go w miasteczku kościoła, aby wysłuchać porannego i wieczornego nabożeństwa. Rektorem naszej szkoły był pastor owego kościoła. Z jakim głębokim uczuciem podziwu i oszołomienia z naszej ku chórom oddalanej ławy przyglądałem mu się, gdy wstępował na ambonę krokiem uroczystym a powolnym! Ta postać czcigodna, obdarzona obliczem tak łagodnym i dobrotliwym, przyodziana w szatę tak obficie polyskliwą i tak po kapłańsku rozwiewną — przybrana w perukę tak starannie upudrowaną, a tak wysztywnioną i sutą — czyliż mogła być tym samym czlekiem, który przed chwilą, z twarzą surową i w odzieży zatabaczonej<sup>4</sup>, z dyscypliną w rękę, czuwał nad wykonaniem drakońskiej ustawy szkolnej? O, wybujały to paradoks, którego potworność wyklucza wszelką odpowiedź na pytanie!

W kącie masywnego muru tkwiły jak na pokucie jeszcze masywniejsze drzwi, szczerlnie zamknięte, upstrzone zasuwami i zakończone u góry rozkrzewieniem się zębatego żelastwa.

Jakież głębokie uczucie strachu szerzyły owe drzwi! Rozwierały się jeno dla trzech periodycznych wycieczek i powrotów, o których już mówiłem — wówczas w każdym zgrzycie ich potężnych zawias<sup>5</sup>, odsłaniał się nam nadmiar tajemnic — cały świat uroczystych postrzeżeń lub jeszcze uroczystszych rozmyślań.

Obszerna zagroda miała kształt nieprawidłowy i podział na kilka części, z których trzy lub cztery — największe — stanowiły miejsce dla zabaw. Miejsce owo było wyrównane i powleczone drobnym i ostrym szczyrk<sup>6</sup>. Pamiętam dobrze, iż nie posiadało ani drzew, ani ławek, ani w ogóle nic w tym rodzaju. Ma się rozumieć, iż znajdowało się w tyle budynku<sup>7</sup>. Od przodu widniał niewielki kwietnik wysadzany bukszanem i innymi krzewami, lecz ową świętą oazę wolno nam było przekraczać tylko w rzadkich wielce wypadkach, jako pierwszy wstęp do szkoły lub odjazd ostateczny, lub też, być mo-

<sup>2</sup>z wyłączeniem imienia — tu: oprócz dysponowania mieniem, majątkiem. [przypis redakcyjny]

<sup>3</sup>styl Elżbiety — styl architektoniczny wczesnego renesansu, związany z panowaniem ang. królowej Elżbiety I (1558–1603), charakterystyczny dla budownictwa świeckiego (pałace, rezydencje, szkoły), łączył cechy gotyku z renesansową ornamentyką, inspirowany m.in. sztuką włoską i flamandzką. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup>zatabaczony (starop.) — zabrudzony tabaką lub niechlujny; staromodny. [przypis redakcyjny]

<sup>5</sup>potężnych zawias — dziś: potężnych zawiasów. [przypis redakcyjny]

<sup>6</sup>szczyrk — gliniasty piasek. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup>znajdowało się w tyle budynku — dziś popr.: znajdowało się na tyle budynku. [przypis redakcyjny]

że, w chwilach gdy ktoś z przyjaciół lub krewnych kazał nas zawołać i wesoło ruszaliśmy w drogę do rodzinnych pieleszy na Boże Narodzenie lub na św. Jana.

Lecz dom! Co za osobliwą a starą budowlą był ów dom! Zaś dla mnie był istnym pałacem zaklętym! Końca nie było jego korytarzowym zakrętom i niezrozumiałym podziałom. Trudno było w tej lub innej, na chybił trafił wybranej chwili stwierdzić z całą pewnością, czy się jest na pierwszym, czy na drugim piętrze. Miało się za to pewność, iż w przejściu z jednego pokoju do drugiego stopa napotka trzy lub cztery stopnie w górę lub w dół. Prócz tego niezliczone i niedostępne pojęciu były boczne podziały, które tak się wsnuwały i wysnuwały z siebie, iż najdokładniejsze ogarnięcie myślą całości gmachu niewiele się różniło od owej mrzonki, za której pomocą oglądamy nieskończoność. W ciągu lat pięciu mego pobytu nigdy nie potrafiłem dokładnie określić tej odległej okolicy gmachu, w której znajdowała się ciasna sypialnia, przeznaczona dla mnie i dla innych osiemnastu lub dwudziestu żaków.

Klasa była najobszerniejszą komnatą w całym domu, a nawet w całym świecie, w każdym razie nie mogłem się oprzeć takiemu na nią pogładowi. Bardzo długa, bardzo wąska i ponuro niska, z dwuukowymi oknami i z dębowym pułapem. W odległym kącie, który ział postrachem, tkwiła zagroda, mająca osiem do dziewięciu stóp kwadratowych, a stanowiąca w godzinach wykładów *sanctum*<sup>8</sup> naszego zwierzchnika, przewielebnego doktora Bransby'ego. Była to krzepka budowa z masywnymi drzwiami. Niżli je rozewrzeć w nieobecności *Domine*<sup>9</sup>, wszyscy byśmy raczej wybrali zgon od *rózgi i rzemienia*. W dwu innych kątach wznosiły się dwie podobne zagrody — przedmioty o wiele, co prawda, mniejszej czci, ale w każdym razie źródła dość znacznego postrachu, jedna z nich była katedrą mistrza humaniorów<sup>10</sup>, druga zaś — profesora języka angielskiego i matematyki. Rozsiane tam i sam po sali bezliki ławy i pulpity, straszliwie objuczone książkami z plamistym odwzorem palców, krzyżowały się w nieskończonym bezładzie — szerniałe, zgrzybiałe, zjedzone czasem i tak gruntownie poślubione w kształty inicjałów, całkowitych imion, postaci groteskowych i innych licznych *arcydział* scyzoryka, że zgoła zatraciły i tę bylejaką formę, której im udzielono w czasach wielce zamierzchłych. Na jednym krańcu sali tkwił olbrzymi ceber wody, a na drugim — zegar niewiarygodnych rozmiarów.

Zamknięty w masywnych murach tej czcigodnej szkoły, spędziłem wszakże bez nudy i bez niesmaku trzecie pięciolecie mego żywota.

Plodny umysł dziecięcy nie wymaga od świata zewnętrznego pobudek dla swej pracy lub zabawy i ponura na pozór jednostajność szkolnego istnienia obfitowała w podniety płomienniejsze aniżeli owe, których dojrzała moja młodość szukała w uciechach zmysłowych, a wiek męski — w zbrodni. Wszakże muszę wyznać, iż pierwszy mój rozwój umysłowy był pod wieloma względami niezbyt pospolity, a nawet ponad poziom wybiegający. Wypadki lat dziecinnych najczęściej nie pozostawiają w duszach ludzi dojrzałych zbyt wyraźnych śladów. Nic, tylko — cień mglisty, wątle a bezładne wspomnienie, mętna gmatwanina kruchego wesela i urojonych trosk. Inaczej rzecz miała się ze mną. Zapewne z dzielnością dojrzałego mężczyzny wyczuwałem w dzieciństwie to, co i dziś jeszcze ryje się w mej pamięci w konturach tak żywych, głębokich i trwałych jak rysunki medali kartagińskich. A tymczasem — w rzeczy samej — z utartego punktu widzenia — jakże tam mało było treści dla wspomnień!

Ład porannych ocknień, nakaz udania się na spoczynek nocny, nauka lekcji, wygłaszanie ich z pamięci, periodyczne półurlopy i spacerki, podwórzec dla zabaw wraz z jego kłótniami, wywczasami i intrygami — wszystko to, zniknione w magicznym śnie ducha, zawierało w sobie cały nadmiar wrażeń, przepych wypadków, nieskończoność najrozmaitszych wzruszeń i najbardziej płomiennych i upojnych podniet. *Hej! Niezgorzej się żyło w onym wieku żelaznym!* W istocie — dzięki płomiennej, entuzjastycznej, władczej naturze — wyróżniłem się wkrótce pomiędzy reszty mych towarzyszy i z wolna a zgoła

<sup>8</sup>*sanctus* (łac. święty) — tu forma rodz. n.: sanctum, chodzi tu o miejsce święte, przestrzeń świętą, wyjątkową. [przypis redakcyjny]

<sup>9</sup>*dominus* (łac.) — pan, gospodarz, zwierzchnik, tu forma W. lp: domine. [przypis redakcyjny]

<sup>10</sup>*humaniora* (od łac. *humanus* – ludzki) — nauki humanistyczne: historia, literatura, sztuka. [przypis redakcyjny]

Dom

Szkoła

Wspomnienia,  
Dzieciństwo, Szkoła

nieznacznie pozyskałem przewagę nad wszystkimi, którzy mię wiekiem nie prześcigali — nad wszystkimi, z wyjątkiem jednego.

Był to żak wcale ze mną nie spokrewniony, nosił to samo imię i to samo nazwisko — okoliczność małą sama przez się wagi, gdyż, mimo dostojnego pochodzenia, nosiłem jedno z tych licznych nazwisk, które snadź od czasów niepamiętnych — prawem przedawnienia — stały się ogólną własnością motłochu. W niniejszym przeto opowiadaniu nadałem sobie przezwisko Williama Wilsona — przezwisko zmyślane, które niezbyt od rzeczywistego odbiega.

Wśród tych, co, mówiąc szkolnym językiem, stanowili naszą *bandę*, jeden tylko mój imiennik miał odwagę współzawodniczyć ze mną w wiedzy szkolnej, w grach i dysputach podczas wolnych od nauki godzin — oraz odmawiania ślepej wiary mym twierdzeniom i bezwzględnemu poddaniu się mej woli — słowem — przeczenia mej dyktaturze przy każdej lada sposobności. Jeżeli istnieje na ziemi despotyzm krańcowy i bez zastrzeżeń, jest nim właśnie despotyzm genialnego dziecka względem słabszych duchowo towarzyszy. Buntowniczość Wilsona była dla mnie źródłem najdotkliwszych zakłopotañ, tym bardziej że wbrew przechwałkom, których publiczne w stosunku do jego osoby i jej uroszczeń podkreślanie uważałem za swój obowiązek, czułem w głębi duszy strach przed nim i nie mogłem nie postrzec w tym, tak łatwo przezeń zachowywanym poziomie dorównywania mi wręcz i w oczy — dowodów prawdziwej wyższości, ponieważ sam — ze swej strony musiałem przykładać nieustannych starań, ażeby uniknąć porażki. Wszakże o tej wyższości, lub raczej równości, ja tylko jeden, właściwie, powziąłem wiadomość. Towarzysze nasi, dzięki niepojętej ślepcie, zdawali się nawet nie podejrzewać jej istnienia.

I rzeczywiście — jego współzawodnictwo, wytrwałość i przede wszystkim jego zuchwałe a dotkliwe wtrącania się do wszystkich moich zamysłów nie sięgały ponad poziom spraw osobistych. Zdawał się przy tym pozbawiony miłości własnej, która mnie pchała do władztwa oraz owej namiętnej żywotności, która dostarczała mi środków po temu. Można było pomyśleć, że w swym współzawodnictwie powoduje się wyłącznie fantastyczną żądzą krzyżowania mych zamiarów oraz zniewalania mnie do podziwu i do rozpacz, chociaż zdarzały się chwile, gdy nie mógł nie zauważyć z powikłanym uczuciem zdumienia, ponizienia i gniewu, że do swych obelg, zniewag i zaprzeczeń dorzuca pewną domieszkę zbyt niewczesnej i — doprawdy — najnieznośniejszej pod słońcem przychylności. Owo dziwne zachowanie się mogę chyba wytłumaczyć sobie wyłącznie jako skutek bezwzględnej zarozumiałości, która samozwańczo posługuje się gminnym tonem orędownictwa i poparcia.

Zapewne ta ostatnia cecha postępowania Wilsona, łącznie z naszym współimiennictwem oraz przypadkową zgola jednoczesnością zjawienia się w gmachu szkolnym, przyczyniła się do rozpowszechnionego wśród uczniów klas wyższych zdania, iż jesteśmy braćmi.

Ci zazwyczaj niezbyt szczegółowo wglądali do życia młodszych kolegów. Wspomniałem, zda się, lub powinienem był wspomnieć, iż Wilson w najdalszych nawet rozgąłżeniach nie był spokrewniony z mym rodem. Lecz — doprawdy — gdybyśmy byli braćmi, byłibyśmy jednocześnie bliźniętami, ponieważ po opuszczeniu zakładu doktora Bransby'ego dowiedziałem się przypadkiem, że mój imiennik urodził się 19 stycznia 1813 r. — godny uwagi zbieg okoliczności, gdyż ów dzień jest właśnie dniem moich urodzin. Dziwnym wydać się może ów fakt, że mimo nieustannych trwóg, o które przyprawiało mię współzawodnictwo Wilsona i jego nieznośna przekora, nie mogłem dotrzeć do bezwzględnej dlań nienawiści.

Nieodwołalnie i niemal co dzień wszczynaliśmy kłótnię wzajemną, w której, przyznając mi publicznie palmę pierwszeństwa, starał się w ten lub inny sposób zaznaczyć, iż owa palma nie mnie, lecz jemu się należy.

Otóż moja duma a jego rzetelna godność trzymały nas zawsze w ścisłym zakresie przyzwoitości, a wszakże dusze nasze były sobie wzajem tak często podobne, iż tylko nasz stosunek przygodny wzbraniał, być może, obudzonemu we mnie uczuciu rozwinąć się w uczucie przyjaźni. Trudno mi, doprawdy, określić, a nawet opisać, rdzeń moich dlań uczuć, tworzyły one pstrokatą i różnorodną gmatwaninę — była w niej gwałtowna zawziętość, która nie przedzierzgnęła się jeszcze w nienawiść, tudzież ocena wartości, a raczej cześć dla osoby, sporo strachu i niepomierne a płochliwe ciekawość. Dla psychologów

Imię, Pozycja społeczna

Konflikt

Strach

Kłótnia, Konflikt

zbyteczny jest chyba dodatek, że obydwaj — Wilson i ja — byliśmy nierozłącznymi towarzyszącymi. Bez wątpliwości i dwuznaczności nowego stosunku, wszystkie moje — szczerze czy udane, lecz w każdym razie liczne — przeciw jemu napaści przekształcała raczej w szyderstwa i utarczki (żart czyliż nie potrafi ranić doskonale?) aniżeli w poważną i określoną wrogość. Wszakże wysiłki moje w tym kierunku nie zawsze wieńczyły się tryumfem, nie wyłączając nawet chwil, gdy najprzebieglej knował swe plany, ponieważ mój imiennik posiadał w swym charakterze sporo owej pełnej zastrzeżeń i spokoju surowości, która, igrając ostrzem własnego dowcipu, nie odsłania nigdy pięty Achillesowej i stanowczo wymyka się wszelkim śmiesznościom. Nie mogłem w nim znaleźć żadnej słabej strony, prócz jednej tylko, polegającej na szczególe zewnętrznym, który, jako wynik ułomności organicznej, pominąłby milczeniem każdy — mniej niż ja — do kresów zaciekle doprowadzony przeciwnik.

Kaleka

Mój współzawodnik miał niedobór w strunach głosowych, który nigdy mu nie pozwalał wybiegać głosem *ponad poziom bardzo uciszonego szeptu*. Nie omieszkałem wedle mej możności ciągnąć z owego kalectwa politowania godnych zysków.

Wilson pomstował rozmaicie, lecz jeden szczególnie rodzaj jego złośliwego odwetu zatrwał mnie nadmiernie. Nigdy nie umiał rozwiązać tej zagadki, do jakich przebiegłych środków uciekł się w zasadzie jego umysł, aby wykryć, iż drobiazg tak nieznaczny może mi przysparzać tyle udręki? Wszakże, zrobiwszy to odkrycie, stosował do mnie uporczywie owo narzędzie męczarni. Zawsze czułem wstręt dla mego nieudanego, bo tak niewytwornego nazwiska oraz dla gminnego, jeśli nie plebejuszowskiego zgoła imienia. Dźwięki tych zgłosek zatruwały mi uszy — i kiedy, w dniu mego przybycia, wtóry<sup>11</sup> William Wilson zjawił się w szkole, urągałem mu w duchu za owo imię i obrzydziłem je sobie podwójnie, ponieważ je nosił cudzoziemiec — cudzoziemiec, dzięki któremu miała mnie ścigać dwukrotna sposobność chłonięcia uchem tych dźwięków, a którego osobę miałem nieustannie oglądać, wiedząc z góry, iż w zwykłym trybie szkolnego żywota, z powodu nienawistnego zbiegu okoliczności, czyny jego będą przypisywane mojej osobie i odwrotnie. Uczucie rozdrażnienia, wynikłe z owej przyczyny, zaostrzało się z biegiem wypadków, które odsłaniały w całej pełni duchowe i cielesne podobieństwo pomiędzy mną a moim przeciwnikiem. Jeszcze nie wykryłem tego znamienego faktu, że jesteśmy rówieśnikami, a już postrzegłem, że jesteśmy jednakiego wzrostu, i zauważyłem szczególnie nawet podobieństwo i w całokształcie, i w rysach naszych twarzy. Doprowadzała mnie do wściekłości pogłoska o naszym pokrewieństwie, której zazwyczaj dawały posłuch klasy wyższe. Słowem — nic nie budziło we mnie poważniejszych niepokojów (choć ukrywałem najpilniej oznaki tych niepokojów), jak lada napomknięcie o naszym podobieństwie już to z ducha, już to z ciała, już to z daty urodzenia. Wszakże nie miałem doprawdy najmniejszego powodu do przypuszczeń, że owa tożsamość (z wyjątkiem faktu pokrewieństwa i owych szczegółów, które Wilson osobiście wypatrzyć potrafił) była kiedykolwiek przedmiotem roztrząsań, a nawet spostrzeżeń ze strony kolegów. Natomiast jasne było dla mnie, iż *on sam przez się* oglądał owo podobieństwo we wszystkich przejawach i z równą moją — bacznością. Wszakże tę okoliczność, iż w tego rodzaju przypadkach potrafił wynaleźć niewyczerpaną kopalnię udręczeń, mogłem przypisać, jak wyżej rzekłem, tylko wyższej nad zwykły poziom przenikliwości. Dawał mi odpowiedzi, doskonale przedrzeźniając moją osobę w ruchach i słowach, i przedziwnie grał swoją rolę.

Sobowtór

Imię

Ubranie moje łatwym było do odwzorowania przedmiotem. Bez trudu też przywłaszczył sobie mój chód i ogólny charakter postawy. Nawet głos mój, mimo wspomnianych niedoborów organicznych, nie wymknął się jego zaborczości. Nie próbował, ma się rozumieć, podchwycenia dźwięków donośnych, lecz zachował tożsamość barwy — *i głos jego, mimo uciszenia, stawał się doskonałym echem mego głosu*.

Próżno bym starał się opisać do jakiego stopnia dręczył mnie ów dziwny portret — mogę bowiem nazwać go portretem, nie zaś tylko karykaturą. Jedną tylko miałem pociechę, mianowicie tę, że naśladownictwa owego, jak mi się zdawało, nikt prócz mnie nie zauważył i miałem przeto wyłącznie mus osobistego znoszenia tajemniczych i dziwnie sarkastycznych uśmiechów mego imiennika.

<sup>11</sup>wtóry (daw.) — drugi. [przypis redakcyjny]

Zadowolony, iż mu się udało wyrzucić na mnie wrażenie pożądane, zdawał się ciszkiem radować z zadanej mi rany i okazywał szczególną pogardę dla publicznego poklasku, który z taką łatwością mógłby pozyskać dzięki swym fortunnym pomysłom. Jak się to stało, że koledzy nasi nie domyślali się jego zamiarów, nie widzieli całej roboty wykonawczej i nie przyłączyli się do jego szyderczej radości? Przez szereg niepokoju pełnych miesięcy była to dla mnie zagadka nie do rozstrzygnięcia. Być może, iż powolność stopniowań czyniła naśladownictwo mniej widocznym lub raczej swe bezpieczeństwo zawdzięczam pozorom *mistrzostwa*, którym tak zręcznie przejmował się kopista, pogardzając *martwą literą* — jedynie pochwytną w obrazie dla umysłów tępych — i oddawał istotnego ducha oryginału ku tym większemu z mej strony zdziwieniu i ku tym większej goryczy osobistej.

Wspominałem już kilkakrotnie o powziętym przezeń względem mej osoby a wielce dotkliwym tonie pobłażliwej opieki i o jego częstych a poufnych stróżowaniach mej woli. Stróżowania owe nabierały częstokroć przykrych zabarwień przestrogi — przestrogi udzielanej nie otwarcie, tylko w domysłach i napomknieniach. Przyjmowałem je z odrazą, która urastała w miarę, gdy i ja urastał. A jednak muszę mu oddać pełną uznanie i należną sprawiedliwość, iż nie przypominam sobie w owej odległej już epoce ani jednego wypadku, ażeby wpływy mego współzawodnika zawierały w sobie rodzaj błędów i szaleństw, tak właściwych jego wiekowi, pozbawionemu zazwyczaj dojrzałości i doświadczenia — iż, jeśli nie talentem i oglądą, to w każdym razie przewyższał mnie o wiele subtelnością wyczuć moralnych — i że wreszcie byłbym dzisiaj lepszym, a przeto szczęśliwszym człowiekiem, gdybym rzadziej odrzucał rady zatajone w doniosłych szeptach, które wówczas nieciły we mnie jedynie nienawiść tak głęboką i pogardę tak pełną goryczy.

Koniec końcem zbuntowałem się doszczętnie przeciw tak potwornym czatom i z dniem każdym coraz otwarciej nienawidziłem tego, com uważał za nieznośną bezczelność. Wyżej rzekłem, iż w pierwszych latach naszego koleżeństwa uczucia moje względem Wilsona łatwo mogły przeobrazić się w przyjaźń, lecz w ostatnich miesiącach mego w szkole pobytu, pomimo niewątpliwie znacznej niżki w poziomie zwykłych zabiegów jego natręctwa, uczucia moje — w równej niemal mierze — zniżyły się do poziomu istotnej nienawiści. Zdaje mi się, iż zauważył to pewnego razu i odtąd unikał mnie lub udawał, że unika.

Jeśli mnie pamięć nie myli, wypadło to w tym samym mniej więcej czasie, kiedy na tle jednej gwałtownej pomiędzy nami kłótni, w której mój przeciwnik zatracił właściwą sobie oględność i dał gniewom obcą niemal swej naturze folgę, wykryłem lub przewidziało mi się, że wykrył w jego tonie, wyrazie twarzy i w całej postaci coś, co mnie na razie przejęło dreszczem, potem do głębi rozciekawilo, narzucając mej duszy niejasne widma wczesnego dzieciństwa — cudaczne, mętne a pilne wspomnienia owych dni, gdy pamięć moja jeszcze na świat nie przyszła. Nie potrafiłbym lepiej określić tłoczącego mnie wrażenia, jak podkreślając trudność pozbycia się tej myśli, że obecna mym oczom istotę znał już ongi — w epokach niezmiernie zamierzchłych — w przeszłości bezkresnie nawet oddalonej. Wszakże przewidzenie owo pierzchno tak samo szybko, jak szybko powstało — i napomykam o nim jedynie w tym celu, aby zaznaczyć dzień ostatniej rozmowy pomiędzy mną a mym osobliwym imiennikiem.

Stare i obszerne domostwo w swych niezliczonych skrzydłach zawierało kilka olbrzymich komnat, które łączyły się ze sobą i stanowiły sypialnie dla większości żaków. Ponadto, jak to musowo zdarza się w budynku tak nieszczęśliwie pomyślanym, istniała cała ciżba kątów i zakątków — wyniki skrawków i narożnych obrównań budowy. Oszczędnościowa wynalazczość doktora Bransby'ego przedzierzgnęła je hurtem w sypialnie. Ponieważ jednak były to zaledwo szczupłe cele, mogły tedy dać pobyt jednej tylko osobie. Jeden z tych małych pokojów zajmował Wilson.

Pewnej nocy, na schyłku piątego roku żakostwa i bezpośrednio po wspomnianej kłótni, korzystając ze snu, który wszystkich ogarnął, wstałem z łóżka i z lampą w dłoni sunąłem poprzez labirynt wąskich korytarzy z mojej sypialni do sypialni mego przeciwnika. Długo kosztem swych wysiłków knułem jeden z tych złośliwych figłów, jedną z tych bolesnych zasadzek, w których dotychczas zawsze pudłowałem. Powziąłem myśl natychmiastowego wykonania mych zamierzeń i postanowiłem dać mu odczuć całą głąb owej złośliwości, która we mnie wezbrała. Dotarłem do jego celi, wszedłem bez szumu, pozostawiając u drzwi lampę przesłoniętą abażurem.

Posuwałem się krok za krokiem, nasłuchując szmerów jego spokojnego oddechu.

Opieka, Nienawiść, Bunt

Sobowtór, Strach

Pewny, że śpi głęboko, wróciłem do drzwi, ująłem lampę i ponownie zbliżyłem się do łóżka. Okalały je kotary. Uchyliłem ich z lekka i z wolna, aby wykonać mój zamiar, lecz jeden ruchliwy promień padł wręcz na śpiącego i jednocześnie wzrok mój utkwiał w jego twarzy. Jąłem się przyglądać — i drętwota przerażeń, zimny dreszcz strachu przeniknęły mię błyskawicznie aż do szpiku kości. Serce zadygotało mi w piersi, kolana ugięły się pode mną, całą moją istotę ogarnął lęk ponad siły i ponad zrozumienie. Dyszałem konwulsyjnie,niżając lampę jeszcze bardziej poziomo. do jego twarzy.

Takież to były — naprawdę takie rysy twarzy Williama Wilsona? Widziałem jak najwyraźniej, że to jego rysy, lecz dygotałem niby w febrze mającąc, że nie do niego należą. Cóż za powód w tych rysach zatajony potrafił w takim stopniu zmącić mój umysł? Przyglądałem się nadal — i doznałem zawrotu głowy pod wpływem tysiąca bezładnych wniosków. Nie ukazywał mi się w *takiej postaci*, o, doprawdy nie ukazywał mi się taki w godzinach czynnych, gdy czuwał. Tożsamość nazwiska! Tożsamość rysów! Jednocześnie przybycia do szkoły! A potem — owo zjadliwe i niepojęte przedrzeźnianie mego chodu, głosu, ubrania i sposobu bycia!

Dałaby się, doprawdy, w zakresie codziennych prawdopodobieństw pomieścić ta okoliczność, iż to *com obecnie oglądał* było zwykłym wynikiem owego nałogu sarkastycznych małpowani? Zdjęty przerażeniem, drżący na całym ciele zgasilem lampę, ciszkiem wybrnąłem z pokoju i raz na zawsze opuściłem zgrzybiałe mury tej szkoły, aby już nigdy do nich nie powrócić.

Po upływie kilku miesięcy spędzonych w ognisku rodzinnym w niepokalanej bezczynności, oddano mnie do szkoły w Eton. Ta krótka przerwa wystarczyła, aby przytłumić we mnie wspomnienia wypadków zdarzonych<sup>12</sup> w szkole Bransby'ego, a w każdym razie — aby odmienić istotę uczuć nieconych owymi wspomnieniami. Rzeczywistość, tragiczny podkład dramatu — pierzchły. Miałem obecnie kilka danych do powątpiewania o świadectwie mych zmysłów — i rzadkom wspominał całe zajście bez podziwiania owego bezgranicza, którego osiągnąć może łatwowierność ludzka oraz bez zaznaczenia uśmiechem niezwykłych zasobów odziedziczonej przeze mnie wyobraźni. Zresztą, gatunek życia, które pędziłem w Eton, nie nadawał się do uszczuplenia tego rodzaju sceptycyzmu. Odmęty szału, w którym się pograżyłem niezwłocznie i bez namysłu pochłonięły wszystko prócz szumowin ubiegłych dni — w okamgnieniu zatopiły wszelkie trwałe i poważne wrażenia i pozostawiły w pamięci jedynie lekkomyślną powierzchnię minionego żywota. Nie mam wszakże zamiaru kreślenia tu całego przebiegu mych nikczemnych wybryków — wybryków, które urągając wszelkim prawom wymykały się wszelkiej baczności. Trzy szaleńcze, na marne strwonione lata zdołały mnie tylko umocnić w mych występnych nałogach i niemal anormalnie wzmogły moją dojrzałość fizyczną. Pewnego dnia, po całym na zwierzęcych uciechach zmarnotrawionym tygodniu — gwoli potajemnej orgii zgromadziłem w mym mieszkaniu pewne kółko studentów. Zebraliśmy się o późnej godzinie nocnej, ponieważ rozpustę naszą mieliśmy nabożnie uprawiać aż do rana. Wino płynęło strumieniami, a nie zaniedbaliśmy i innych, niebezpieczniejszych, być może, pokus — tak, że w chwili, gdy świt od wschodu przejaśnił niebiosy obłęd nasz i nasze wybryki doszły do szczytu. Wściekle podniecony grą w karty i winem, upierałem się przy jakimś cudacznym sprośnym toaście, gdy nagle skupienie moje rozproszył skrzyp gwałtownie a na wpół rozwartych drzwi i pilny głos służącego oznajmił mi, że ktoś — o pozorach niezwykłego pośpiechu — chce się ze mną rozmówić w przedpokoju.

Pod wpływem osobliwego upojenia ta niespodziana przerwa raczej uradowała mnie, niżeli zdziwiła. Porwałem się chwycenie przed siebie i uszedłszy kilka kroków trafiłem do przedpokoju. W tym niskim i wąskim wnętrzu nie było ani jednego światła i rozwidniał je tylko niezwykle wąty, a przez sklepienie okno przesiany promień świtu. Stanąwszy w progu — wypatrzyłem postać młodzieńca, mniej więcej mego wzrostu, przyodzianego po domowemu w ubranie z białego każmirku<sup>13</sup>, skrojone według nowej mody jak to, które miałem w tej chwili na sobie.

Pijaństwo, Uczta, Wino,  
Alkohol, Gra

<sup>12</sup>wypadków zdarzonych — dziś popr.: wypadków, które zdarzyły się. [przypis redakcyjny]

<sup>13</sup>każmirek (fr. *casimir*; ang. *cassimir*) — kaszmir; rodzaj miękkiej tkaniny wełnianej; nazwa pochodzi od regionu na pograniczu Indii i Pakistanu, gdzie przędzono ten rodzaj materiału z wełny miejscowych kóz. [przypis redakcyjny]



Ów wąty promień udzielił mi widzenia tych przedmiotów, lecz rysów twarzy różnić nie mogłem. Zaledwom wszedł — młodzieniec rzucił się ku mnie i, chwyciwszy mnie za ramię ruchem władczy zniecierpliwienia, szepnął mi do ucha te słowa: „William Wilson!”

Wytrzeźwiałem w okamgnieniu.

W postawie nieznanego, w nerwowym drganiu palca, który trzymał wzwyz pomiędzy moimi oczyma a brząskiem zorzy, było coś, co nappełniło mnie do cna zdziwieniem, lecz nie stąd wynikło, że się wzruszył tak gwałtownie. Przyczyną była — powaga, uroczystość przestrogi zawartej w tym zdaniu szczególnym, uciszonym i podobnym do syku — a przede wszystkim — charakter, ton, barwa tych kilku zgłosek — prostych, poufnych, a jednak tajemniczo *wyszeptanych*, które, wraz z tysiącem nagromadzonych z przeszłości wspomnień, wstrząsnęły moją duszą jak dotyk stosu Wolty<sup>14</sup>. Zanim zdążyłem oprzytomnieć młodzieniec — znikł z mych oczu.

Chociaż ten wypadek wywarł niewątpliwie bardzo żywe na mym nietrzeźwym umyśle wrażenie, wszakże wrażenie owo — tak żywe — wkrótce zamarło. I rzeczywiście przez kilka tygodni już to byłem oddany najpoważniejszym badaniom naukowym, już to trwałem w mglistej powłoce chorobliwych rozmyślań. Nie starałem się zatajać przed sobą tożsamości szczególnego osobnika, który tak natarczywie dręczył mnie swymi poradami. Lecz kim, lecz czym był ów Wilson? I skąd przybywał? I jakie miał zamiary? Na żadne z tych pytań nie mogłem dać wystarczającej odpowiedzi. Stwierdziłem jedynie — w stosunku do jego osoby — że nagle katastrofa rodzinna zniewoliła go do opuszczenia zakładu Bransby’ego w godzinach południowych owego dnia, który był dniem mojej ucieczki. Po pewnym jednak czasie przestałem myśleć o tym i uwagę moją pochłonął całkowicie zamierzony wyjazd do Oksfordu. Tam — dzięki próżnej hojności rodziców, która mi pozwalała pędzić życie wystawne i otaczać się do woli tak upragnionym mi już od dawna przepychem, zdobyłem wkrótce możność prześcigania w zbytkach najdumniejszych nawet dziedziców najbogatszych hrabstw Wielkiej Brytanii.

Zachęcane do grzechu tak zasobnymi środkami przyrodzone moje skłonności wybuchły z mocą podwójną i w szaleńczym opętaniu rozpusty deptałem najzwyczajsze zasady przyzwoitości. Szczegółowe zastanawianie się nad moimi wybrykami byłoby nonsensem. Dość, że w zbytkach prześcignąłem Heroda i dość, że darząc nazwami mnóstwo nowych szalów, przyrzuciłem obfity dodatek do długiego katalogu występków rozpanoszonych wówczas w najrozpuśniejszej w Europie wszechnicy.

Trudno, zda się, dać wiarę temu, że godność moją szlachecką poniżyłem aż do stopnia pilnego wtajemniczenia się w najnikczemniejsze fortele zawodowych karciarzy i że wreszcie, jako adept tej wiedzy haniebnej — zażyłem mych umiejętności w celu poszerzenia i poza tym olbrzymich dochodów na karb najsłabszych umysłowo kolegów. A wszakże tak było! Sama właśnie potworność tych na wszelką cześć i godność zamachów była widocznie głównym, jeśli nie jedynym, powodem mej bezkarności. Bo i któż spośród najrozpuśniejszych moich towarzyszy nie zaprzeczyłby raczej najoczywistszemu świadectwu własnych zmysłów, aniżeli podejrzewałby o podobne czyny wesołego, szczerego, wspaniałomyślnego Williama Wilsona — najszlachetniejszego i najhojniejszego koleżę w Oksfordzie — którego szaleństwa, zdaniem jego własnych pasożytów, były tylko szaleństwami młodości i pozbawionej wędzideł wyobraźni, którego błędy były jedynie nieporównanym wybrykiem, a najczarniejsze występkę — beztróską i wspaniałą buńczucznością?

Tym wesołym trybem spędziłem już dwa lata, gdy nagle wstąpił do wszechnicy pewien młodzieniec z niedojrzałej szlachty nazwiskiem Gleudinning, według ogólnego zdania bogaty jak Herod Atycki, a któremu bogactwo własne ciążyło nie nazbyt. W bardzo krótkim czasie zmiarkowałem, iż jest tępy na umyśle i, ma się rozumieć, upatrzyłem go sobie jako doskonałą ofiarę mych uzdolnień. Często wciągałem go do gry i z właściwą graczom przebiegłością udzielałem mu starannie możliwości znacznych wygranych, ażeby tym skuteczniej uwikłać go w sieci. Wreszcie, gdy zamiar mój dojrzał, spotkałem się z nim w mieszkaniu jednego z naszych kolegów — niejakiego Prestona, zarówno z na-

<sup>14</sup>*stos Wolty* — urządzenie stworzone przez Alessandro Voltę (1745–1827), służące do przesyłania ładunku elektrycznego. [przypis redakcyjny]

Słowo, Dźwięk

Grzech, Bogactwo, Szkoła

Gra

Gra, Podstęp, Bogactwo,  
Pieniądz

mi obydwoma zażyłego, który wszakże — muszę mu to przyznać — nie domyślał się wcale mych zamiarów. Dla nadania pozorów przyzwoitości przyczyniłem się do zaproszenia gromadki ośmiu czy dziesięciu osób i przyłożyłem osobliwych starań, ażeby ujęcie do rąk kart wydało się czynem zgoła przypadkowym — i powziętym jeno na żądanie upatrzonemu w tym celu przeze mnie dudka...

Aby skrócić tak hańbiącą opowieść nadmienię tylko, że nie zaniedbałem żadnego z owych nikczemnych wybiegów, których stosowanie w podobnych razach tak się już utarło, iż godna jest podziwu niewyczerpana nigdy obecność na ziemi głupców przeznaczonych na ofiarę wspomnianych wybiegów.

Gra nasza przeciągnęła się do późna w noc, gdy wreszcie zdziałą, iż Gleudinning stał się jedynym moim partnerem. Była to właśnie moja ulubiona gra — *écarté*. Reszta towarzystwa, rozciekawiona wybujałymi stawkami naszej gry, postroniła swe karty i otoczyła nas kołem. Nasz przybysz, którego w pierwszej połowie wieczoru chytrze skusiłem do grubej wypitki, tasował, rozdawał i grał z dziwną nerwowością, popartą poniekąd, lecz — zdaniem moim — niezupełnie wytłumaczoną upojeniem. Stał się też wkrótce moim dłużnikiem na pokaźną sumę, gdy nagle, żłopnąwszy olbrzymią szklanicę *oporto*<sup>15</sup>, uczynił to, com z zimną krwią przewidział, a mianowicie zaproponował podwojenie już i dotychczas zbyt przesadnych stawek. Udając opór trafnie i wyczekawszy owej chwili, gdy ponowna moja odmowa pobudziła go do ostrych słówek, nadających mej zgodzie pozór ukrytej urazy — przystałem w końcu na jego żądanie. Stało się to, co stać się musiało: ofiara całkowicie uwikłała się w mych sieciach, w niespełna godzinę dług jego urósł czterekroć. Od pewnego czasu twarz jego pozbyła się barwnych, a winem przysporzonych rumieńców, lecz w tej chwili postrzegłem ze zdziwieniem, iż powlekła ją istic preraźliwa błądź. Mówię: ze zdziwieniem, gdyż zasięgnąłem o Gleudinningu starannych wiadomości. Przedstawiono mi go jako niezmiernego bogacza i sumy, które przegrał dotychczas aczkolwiek naprawdę okazałe, nie mogły według moich przynajmniej przypuszczeń — zakłopotać go zbyt poważnie, a tym bardziej wzruszyć w sposób tak gwałtowny.

Najprostszy wniosek, który mi przyszedł do głowy był ten, że wypite wino do cna zmaćciło mu umysł. I raczej dla poratowania swej osoby w oczach przyjaciół niż dla jakichkolwiek pobudek bezinteresownych zamierzyłem stanowczo nalegać na zaprzestanie gry, gdy nagle kilka słów, które z ust obecnych padły w moim pobliżu i okrzyk Gleudinnin-ga, świadczący o rozpaczliwej bezwzględnej, uświadomiły mi, że go zrujnował doszczętnie w warunkach, które zeń uczyniły przedmiot ogólnej litości i uchroniłyby go nawet od złych zamiarów szatana.

Trudno by mi było powiedzieć, jak powinienem był w danym razie postąpić. Oplakane położenie mej ofiary ogarnęło wszystkich uczuciem wstydu i smutku. Przez kilka minut trwało głębokie milczenie i w tym okresie czułem, że twarz moja — na przekór mym wysiłkom — drga pod wpływem dotkliwych, pogardy i wyrzutu pełnych spojrzeń rzu-canych na mnie przez najmniej zatwardziały sercem towarzyszy. Wyznam nawet, iż nieznośne brzemień trwogi stoczyło mi się nagle z piersi na widok tego, które nastąpiło — nagłego a niezwykle wtargnięcia do pokoju pewnej osoby.

Ciężkie skrzydła drzwi rozwarły się na oścież od razu, z tak gwałtownym i poryw-czym rozpędem, że wszystkie świece pogasły jak zakłęte. Wszakże mrąca jaźń pozwoliła mi wypatrzyć wejście nieznanomej postaci — postaci męskiej, mniej więcej mego wzro-stu, owiniętej w płaszcz obcisły. Tymczasem nastała ciemność zupełna i mogliśmy jeno wyczuwać jej pobyt wpośród nas.

Zanim otrząsnęliśmy się z nadmiaru zdumienia, którym nas przejął widok tej prze-mocy, posłyszeliśmy głos nieproszonego gościa:

„Panowie! — rzekł *głosem uciszonym*, głosem niezapomnianym, który mnie przeniknął aż do szpiku kości. — Panowie, nie pilno mi tłumaczyć się z mych czynów, gdyż tak, a nie inaczej postępując, spełniałem jedynie swój obowiązek. Nie jesteście bez wątpienia należycie świadomi gatunku owego człowieka, który tej nocy ograł lorda Gleudinninga na niepomiarłą sumę. Chcę wam udzielić szybkich i stanowczych sposobów zdobycia tych wielce ważnych wiadomości. Zechciejcie oto zbadać podszewkę u wyłogów jego lewego

<sup>15</sup>*oporto* a. *porto* — rodzaj wina, którego nazwa pochodzi od portugalskiego miasta Porto. [przypis redakcyjny]

Wino

Wyrzuty sumienia

Kłamstwo, Podstęp

rękawa oraz kilka drobnych paczek, które się znajdują w niezgorzej pojemnych kieszeniach jego haftowanej na domowy użytek odzieży”.

Gdy mówił te słowa, panowała tak głęboka cisza, iż posłyszałbyś zlot szpilki na dywan. Gdy skończył — wyszedł natychmiast tak samo nagle, jak nagle wszedł. Czyliż mogę opisać — czyliż opiszę moje wrażenia? Mamże potrzebę zaznaczenia, że doznał wszystkich przerażeń skazanego na śmierć? Miałem wprawdzie mało czasu do rozmyślań. Kilka rąk schwyciło mnie groźnie i — natychmiast zapalono światła. Nastąpiły poszukiwania. W podszewce mego rękawa znaleziono wszystkie najniezbędniejsze do gry w *écarté* grupy, a w kieszeniach mego ubrania — kilka talii kart najzupełniej podobnych do tych, których używaliśmy podczas swych zebrań z tą różnicą, że moje należały do ściśle tak zwanego rodzaju *poprawionych*, to znaczy, iż honory miały nieznaczne wypuklizny u węższych krańców, a młódki niedostrzegalne wypuklizny u szerszych krańców. Dzięki takiemu podziałowi ofiara, zazwyczaj przekładając karty wzdłuż talii, czyni to w sposób, który niezmiennie dostarcza partnerowi jednego honoru, podczas gdy szuler, przekładając w poprzek, nigdy nie udzieli swej ofercie karty, którą by mogła zakarbować na swą korzyść.

Huragan oburzenia mniej by mnie poruszył niż wzgardliwe milczenie i sarkastyczna cisza, którymi powitano owo odkrycie.

— „Panie Wilsonie! — rzekł gospodarz, pochylając się i unosząc z ziemi wspaniałą płaszcz podszyty drogocennym futrem — panie Wilsonie! Oto pańska własność. (Dni były zimne i wychodząc z domu narzuciłem na mój poranny przyodziewek płaszcz, który zdjąłem, stanąwszy na placu gry). Przypuszczam — dodał, oglądając z gorzkim uśmiechem fałdy mego płaszcza — iż poszukiwanie tutaj nowych dowodów pańskiego mistrzostwa jest zgoła zbyteczne. Zaprawdę, mamy ich do syta. Ufam, że zrozumie pan konieczność opuszczenia Oksfordu — a w każdym razie niezwłocznego usunięcia się z mego domu”.

Opluty, strącony aż do błota — byłbym prawdopodobnie ukarał sprawcę mych znie wag osobistym, natychmiastowym natarciem, gdyby nie to, że całkowitą moją uwagę pochłonął w tej chwili przypadek wprost zdumiewający.

Płaszcz, w którym przyszedłem był podbity futrem wspaniałym — niewiarygodnie rzadkim i cennym, brak mi zresztą słów po temu. Krój jego był krojem fantastycznym — mego własnego wynalazku, ponieważ w tego rodzaju błahostkach byłem zaciekle wybredny i posuwałem szal dandyzmu aż do absurdu.

Otóż, gdy Preston podał mi ów, który podniósł z ziemi z pobliza drzwi — ze zdziwieniem dosięgającym przerażenia postrzegłem, że mam już swój płaszcz na ramionach, bom bez wątplenia przywdział go bezwiednie — i że ten, który mi Preston podawał był dokładnie w najmniejszych szczegółach podobizną mego płaszcza.

Dziwną istotę, która mnie tak straszliwie zdradziła spowijał — pamiętam to dobrze — płaszcz i nikt z obecnych, okrom mnie, w płaszczu nie przyszedł. Zachowując resztę przytomności, wziąłem do rąk płaszcz, który podał mi Preston i bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi narzuciłem go powierzch mego płaszcza. Wyszedłem z pokoju z wyzwaniem i pogroźką w oczach. Nazajutrz, zanim świt zaświtał, jak szalony uciekłem z Oksfordu na kontynent, śmiertelnie porażony lękiem i wstydem.

*Nadaremnie uciekałem.* Ścigał mnie mój los przeklęty, tryumfu pełen, jakby chciał mi dowieść, że dotychczas jedynie zapoczątkował działanie swych potęg tajemnych. Zaledwie dotknąłem stopą Paryża, a już miałem nowy dowód nienawistnego w mym życiu udziału Wilsona. Lata płynęły, a jam nie zaznał wytchnienia. Nikczemny! Z jakąż natarczywą służalczą, z jakimż widmowym przeczuleniem stanął w Rzymie pomiędzy mną a żądzą zaszczytów! A w Wiedniu — a w Berlinie — a w Moskwie! Byłże taki zakątek, gdzie nie miałbym bolesnej sposobności do miotania nań przekleństw ze dna mego serca? Gnany strachem panicznym uciekałem w końcu od jego niedocieczonej tyranii jak od zarazy, uciekałem aż na krańce świata, *uciekałem nadaremnie.*

I nieustannie, nieustannie badając ukradkiem własną duszę; powtarzałem te same pytania: kto zacz jest? skąd przybywa? jakie knuje zamiary? Lecz znikąd nie było odpowiedzi. Z drobiazgową pilnością rozważałem — żdźbło po żdźbło — sposoby, metody i najistotniejsze cechy jego zuchwałych czatowań. Lecz i tu jeszcze niewiele wykryłem

Wina, Upadek, Wygnanie

Strój

Wygnanie, Podróż

Sobowótór

z tego, co mogło stać się podłożem dla domysłów. Znamienna to była, zaiste, okoliczność, iż w tych częstych wypadkach, gdy niedawno jeszcze stawał mi w poprzek drogi, czynił to jeno w celu pokrzyżowania mych zamiarów i przeszkodzenia zamysłom, których wykonanie pociągnęłoby tylko za sobą gorzką klęskę.

Marne, doprawdy, usprawiedliwienie tak samozwańczo narzucającej się przemocy! Marne odszkodowanie przyrodzonych, a tak natarczywie, tak zuchwale odpartyh zasad wolnej woli!

Miałem też sposobność zaznaczenia, że mój oprawca od dłuższego czasu starannie i z cudotwórczą zręcznością przestrzegając manii utożsamiania mi się w odzieży — potrafił zawsze, ilekroć czynił wstręty mej woli, pozbawić mnie możności oglądania rysów swej twarzy. Kimkolwiek był ów przeklęty Wilson, tajemniczość tego rodzaju niezaprzeczenie była szczytem przesady i niedorzeczności. Czyż mógł na chwilę choćby przypuścić, że w moim doradcy z Eton, w burzycielu mej czci z Oksfordu — w tym, który pogmatwał zamiary mych uroszczeń w Rzymie — plany mej zemsty w Paryżu, zamysły mych opętań miłosnych w Neapolu i knowania mylnie przezeń zrozumianej chciwości mojej w Egipcie — że w tej istocie, w tym zaciętym moim wrogu i złym duchu mego życia nie rozpoznałem owego ze szkolnych czasów — Williama Wilsona, mego kolegi, współimiennika i współzawodnika ze szkoły Bransby'ego? Być to nie może! Wszakże niech mi wolno będzie dotrzeć do okropnej a ostatniej sceny dramatu.

Dotychczas byłem gnuśnie powolny jego władczej przemocy. Głęboka cześć z jaką zwykłem rozważać wzniosły charakter, dostojną mądrość, widomą wszechobecność i wszechpotęgę Wilsona, w połączeniu z jakąś nieokreśloną trwogą, którą mnie napełniały inne cechy i przywileje jego osoby, wytworzyły we mnie poczucie mej własnej słabości i niemocy i doradzały bezwzględne, aczkolwiek gorczy i odrazy pełnego, posłuszeństwa jego samowolnej dyktaturze.

W ostatnich wszakże czasach całkowicie oddałem się winu i jego potężny wpływ na mój dziedziczny temperament był tak potężny, iż wszelki nadzór coraz bardziej mnie niecierpliwiał.

Zacząłem narzekać, wahać się — wreszcie stawiać opór. I nie wiem, czyli za przyczyną zwykłego przywidzenia doszedłem do wniosku, iż upór mego oprawcy słabnie pod wpływem mojej własnej nieugiętości. Tak czy owak, w każdym razie wstąpiła we mnie płomienna otucha i w końcu jałem w sobie żywić potajemnie posępny i rozpaczliwy zamiar pozbycia się tego jarzma.

Miało to miejsce w Rzymie w czasie karnawału roku 18., — byłem na balu maskowym w pałacu neapolitańskiego księcia Di Broglio. Nadużyłem wina więcej niż to było w mym zwyczaju i duszna atmosfera przeludnionych salonów podrażniała mnie nieznośnie. Trudność utorowania sobie drogi poprzez ciżbę niemało się przyczyniła do rozjątrzenia moich dąsów, gdyż (pomijając nikczemność celu) szukałem z niepokojem młodej, wesołej, pięknej małżonki starego i zdziwaczałego Di Broglio. Z lekkomyślną ufnością powierzyła mi oznakę szaty, która ją miała przyoblec i ponieważ postrzegłem z dala ową szatę, spieszo mi było zbliżyć się do niej.

W tej właśnie chwili uczułem, iż czyjaś dłoń łagodnie spoczęła na mym ramieniu i niezwłocznie wniknął mi do uszu ów niezapomniany, ów głęboki a przeklęty *szept!*

Rozszalały z gniewu odwróciłem się nagle ku śmiałkowi, który mnie tak zaniepokoił i popędliwie chwyciłem go za kark. Zgodnie z mym przeczuciem — miał na sobie ubranie zupełnie podobne do mego: płaszcz hiszpański z błękitnego aksamitu, a wokół bioder — pas karmazynowy z przypiętym doń rapirem<sup>16</sup>. Maską z czarnego jedwabiu przesłaniała do cna jego oblicze.

„Nędzniku! — krzyknąłem głosem ochryplym od wściekłości, a każda z piersi wyszarpięta zgłoska przyrzucała, zda się, strawy płomieniom mego gniewu. — Nędzniku! Oszuście! Zbrodniarzu nikczemny! Nie będziesz odtąd tropił moich śladów, nie będziesz mię dręczył aż do mojej śmierci! Idź, gdzie rozkażę, albo zabiję cię na miejscu!”

I nieodparcie włokąc go za sobą, przetłoczyłem się od sali balowej aż do przyległej, niewielkiej sieni.

<sup>16</sup>*rapier* — broń biała, dłuższa od szabli, noszona na co dzień przez mieszczan, popularna w Europie Zachodniej od XVI do XVII wieku. [przypis redakcyjny]

Wino

Pojedynek

Sobowtór, Sumienie

Stanąwszy w sieni, odrzuciłem go ze wściekłością precz — od siebie. Potoczył się ku ścianie. Klnąc, zawarłem drzwi i kazałem mu broń obnażyć. Wahał się przez chwilę, po czym z nieznacznym westchnieniem dobył, milcząc, swej szpady i stanął w pozycji. Walka wszakże trwała niedługo. Burzyły się we mnie najognistsze — wszelkiego chowu podniety i w każdej z osobna dłoni czułem dzielność i potęgę całej zgrai. W okamgnieniu uderzeniem pięści przyparłem go do muru i tam, mając go w swej mocy, kilkakrotnie, cios za ciosem, zanurzałem mu w piersiach szpadę z bydlęcą drapieżnością.

Walka

W tej chwili ktoś dotknął klamki u drzwi. Pośpiesznie zapobiegłem natrętnemu najściu i niezwłocznie powróciłem do konającego wroga.

Lecz jakież język ludzki podola dość opisowi owego zdumienia, owego przestachu, który mnie ogarnął na widok tego, co ujrzały wówczas oczy!

Lustro, Strach, Sobowtór

Przelotne mgnienie, stracone przeze mnie na zbliżenie się ku drzwiom, wystarczyło widocznie, aby u podstaw odmienić właściwy ład przeciwległych zakątków pokoju.

Olbrzymie zwierciadło — tak mi się wydało w mym popłochu — spiętrzyło się tam, gdzie poprzednio ani znaku po temu nie widział i ponieważ, zdjęty przerażeniem, szedłem ku temu zwierciadłu, własne moje odbicie, z twarzą wszakże pobladałą i od krwi plamista, szło ku mnie na spotkanie krokiem słabym i chwiejnym.

Tak mi się — powtarzam — zdawało, lecz było — nie tak! To — wróg mój, to — Wilson trwał przede mną w swej agonii. Maskę jego oraz płaszcz leżały na podłodze — tam, gdzie je porzucił! W jego tak znamiennej a osobliwej twarzy — i w jego stroju — każdy rys, każda nitka — była *moja*, był *mój*! Był to — bezwzględny tryumf tożsamości!

Był to Wilson, lecz Wilson wyzbyty na teraz szeptu w swym głosie tak, iż mogłem pomyśleć, że sam wymawiam te słowa, które on właśnie do mnie skierował:

*Zwyciężyłeś i przeto ulegam. Lecz odtąd umarłeś na równi ze mną — umarłeś dla Ziemi, dla Nieba i dla Nadziei! We mnie istniałeś i — spojrzysz w moją śmierć, spojrzysz wskroś tej, która jest twoją, postaci — jak doszczętnie zamordowałeś siebie samego!*

Śmierć, Morderstwo

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/william-wilson>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, *Maska śmierci szkarlatnej*, tłum. Bolesław Leśmian, Oficyna wydawnicza Latona, Warszawa 1992

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Ginalska, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-0702-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).